

O ZNAKACH ZAPYTANIA

Normalny muzyk chodzi tylko na takie koncerty, na które ma ochotę pójść. Muzyk nienormalny, to znaczy taki, który potem musi coś pisać o muzyce, chodzi na najrozmaitsze koncerty, a więc bardzo często na takie, na jakie nie ma żadnej ochoty iść, ale idzie – i to daje mu materiał do zastanawiania się nad ludzkimi gustami, przeżyciami i zachwykami – jakże różnymi od tych, którym sam ulega i które odpowiadają jego osobistym gustom.

Jakaż to gama od piosenki Lucienne Boyer, poprzez realizację Sygietyńskiego, jazz, kantaty współczesne i dawne oratoria, poprzez arie Pucciniego do muzyki Bouleza, z Wagnerem i Czajkowskim po drodze. I wszystko to jest muzyką, i wszyscy, którzy tego słuchają, kochają w jakiś sposób muzykę. Czasami ciekawsza jest od estrady widownia, czasami dzieło ciekawsze jest niż wykonanie, czasami na odwrót. Nie ma dwóch podobnych koncertów dla nienormalnego muzyka, dla takiego, który coś o tym musi napisać.

Ale coraz częściej ucieka on od tego, co nie odpowiada jego zachciankom pisarskim. I wtedy mnożą się znaki zapytania: dlaczego, po co, dla kogo? Czy warto coś takiego komponować, czy warto coś takiego wykonywać? Czy trzeba, nawet jeżeli pełna sala grzmi oklaskami? A więc czyje gusta są słuszne, kto ma rację? I zawsze owo pozostające bez odpowiedzi: „dlaczego”, „dla kogo?” Zdumiewa mnie zarozumiałość artystów i specjalistów od sztuki, tych ludzi, którzy uważają, że mają bezwzględną rację. Kto oni są? Skąd im się bierze ta zarozumiałość? Jakim prawem uważają, że to oni mają rację, że to oni się znają? A jednak w każdym kraju, w każdym społeczeństwie istnieje taka elita ludzi specjalnie uwrażliwionych na zjawiska z dziedziny piękna, istnieją ludzie, którzy twierdzą, że to oni znają się na pewno i najlepiej na tym, co jest naprawdę piękne i dobre w sztuce. Więcej nawet: sądzę, że niedobrze jest, gdy takich ludzi nie ma. Że jest fatalne dla społeczeństwa, gdy rzuca się sztukę na niepewne flukta żywiołowego jedynie powodzenia i z tego powodzenia wyciąganych wniosków, wniosków sankcjonujących jedynie to, co łatwe i przystępne.

Czy się w tym myślę? Wszystko, czym oddychałem i oddycham w sztuce, buntuje się we mnie, gdy myślę o rezultatach takiej łatwej fluktuacji, takiego płynięcia na fali sztuki popularnej tylko. Ani *Faust*, ani koncerty Bacha, ani żaden z popularnych dziś romantyków nie byli naprawdę ogólnie przyjmowani w czasach, w których tworzyli.

Czy dzisiaj się to zmieniło, czy to się zmienia?

Dyskusje, strzelające ognikami to tu, to ówdzie, ale stale, świadczą, że sprawy te nie zagasty, że tlą się, zaprzatają umysły, że chodzi może tylko o to, kto sankcjonuje, kto wydaje wyroki, kto bierze za łeb opinię w taki sposób, że nie śmie ona zbyt otwarcie wierzyć po swojemu. Miernoty biorą tę opinię za łeb czy ludzie specjalnie na sztukę uwrażliwieni? Może i tu jest jeden z kluczy do tego problemu. Może w gruncie rzeczy wszystkie te walki sprowadzają się do problemu mierności i łatwości wobec innych, trudniejszych i bardziej ambitnych wartości.

Pytania – kto ma sędzić, wiążą się z tymi, którzy słuchają. Ale obok tych pytań nadużywane są w sposób powierzchowny terminy takie, jak warsztat, rzemiosło, współczesność i nowoczesność. Trzeba by wszędzie przy tych starych słowach postawić nowe znaki zapytania, określić na nowo, co one znaczą, w chwili, gdy u niejednego muzyka zmienia się mocno słyszenie, a gdy u publiczności najstarsze, już dobrze stuletnie gusła tkwią głęboko w XIX wieku.

Podobne jest to wszystko do przepaści, którą widzimy pomiędzy osiągnięciami technicznymi a życiem codziennym, gdy ludzie czytający o bliskich jazdach na księżyc wiszą na stopniach tramwajowych i cieszą się z możliwości kupienia żarówek elektrycznych – bo podobno są już teraz żarówki. W muzyce trudno jest nazwać to brnięciem w błocie na centralnej ulicy. Zjawisko jest inne. Podobne jest do wydłużonego ogona, do zwierzęcia, które widząc własny swój ogon, nie jest w stanie uwierzyć, że ta część ciała należy do niego. Kończyny sztuki wydłużają się w podobny sposób jak kończyny techniczne. W technice też od głowy do ogona jest tak daleko, że nie możemy już dopatrzeć się związku między zwykłym, wykształconym nawet człowiekiem a takim, który usiłuje wiedzieć wszystko, choćby w jednej tylko jakiejś dziedzinie.

Znaki zapytania. Po co właściwie mieliby je stawiać wszyscy? Chcą się zachwycać tym, co istnieje łatwego i w nienajlepszym guście – komu to przeszkadza? Najlepszym? Nikt nie pokona mierności, chodzi tylko o to, żeby ona nie przewodziła, nie stawiała się na piedestale, nie stroiła się w teoretyczne i mętne, ideologiczne niby prawidła. Poza tym musi ona być i może nawet wyciskać łzy z oczu, nie ma w tym nic tak bardzo złego i niebezpiecznego.

Znaki zapytania. Gdyby nie one, nie byłoby warto żyć. Byłoby nudno. To one nas podniecają, one nadają sens życiu, są całą jego solą, pieprzykiem, ryzykiem i niespodzianką. Nie ma w tym nawet liberalno-relatywistycznej kokieterii. Jest raczej przekonanie, że zwalczają się różne grupy, formacje i światy, ale w sztuce walka ta jest

walką o nowy typ cywilizacyjny, bardzo trudny do uzyskania. I w walce tej moglibyśmy z pewnością odegrać ciekawą rolę – o którą, moim zdaniem, aż się prosi, o ile potrafimy do niej dorosnąć.

Pisze do mnie pewien wybitny muzyk: „[...] ale czy aby naszym pradziadkom nie wydawał się pocziwy Montgolfier tym samym co międzyplanetarne pojazdy teraz? I mnie pierwsze oderwanie, czy też wykorzystanie grawitacji, odebrało na jakiś czas chęć do pracy, bo co ma za znaczenie, co ma za wartość akord napisany tak czy inaczej wobec miążdżącego postępu nauki? Ale po pewnym czasie pomyślałem, że może akord ważniejszy? To szczyt megalomanii zawodowej, ale tak zupełnie pewny tego nie jestem. Przyzwyczają się ludziska i będą sobie jeździli prawie w zaświaty, a muzyka pójdzie swoim torem”. Potem już ten list staje się zbyt osobisty, żeby go cytować.

Otóż i to. Zbyt osobisty. Może to tu leży cały sekret sztuki? Pisałem już o jej wzlotach, ograniczeniach, upadkach – pisałem o samotności artysty, bywałem pesymistyczny. Ale gdy przerywam cytaty z listu, bo treść jego staje się zbyt osobista, to zapewne dlatego, że dalszym ciągiem ma być już dzieło sztuki: owo ja, pochodzące ze świata i idące w świat z głębi mojego nad nim zamyślenia.

Ale co to jest warsztat i sztuka współczesna, tego dalej nie wiem. Może mnie jednak jakieś światło niebieskie kiedyś oświeci i znajdę na to odpowiedź? Bo sztuka osobista to też słowo, którego treść należałoby ściśle określić. Przecież w moim kulcie muzyki XVIII wieku używałem argumentu, że była ona mniej osobista niż sztuka późniejsza, XIX-wieczna. Chodzi więc raczej o osobistą nutę w ściśle określonym stylu, w stylu możliwie uniwersalnym. Chodzi o to, żeby to, co osobiste, nie gubiło się w tym, czego szukamy na ślepo, bez tej szczypty nadziei, że naszym poszukiwaniom odpowie jakieś echo ogólne.

Słowa, ale słowa, dla których znajduję podkład, gdy tylko zabrzmiała ta nuta prawdziwa.

Uwrażliwieni na tę nutę, chwytamy się wtedy wszystkich środków, ażeby nasze zdanie drugim narzucić, ażeby się wtedy inni wstydzieli, że się nie poznali, że nie potrafili docenić tego, co się stało w naszym świecie sztuki.

Tak to, od potknięcia po prawdziwe odkrycie, błądzimy, znajdujemy, oczekujemy. I mija czas, przytłaczany miernością i błyskający świadectwami powstających utworów. Selekcja, zdobywane mozolnie kryteria, zaprzeczane przez następne pokolenie mody i gusta – historia w końcu. Przypadki i prawidłowości, których suma składa się z tych drobnych cząsteczek, którymi jesteśmy. Nadzieja

współdziałania w tej grze dobrego i złego, pięknego i brzydkiego. Znak zapytania jeszcze jeden, przy pięknym i brzydkim, dobrym i złym, gdy chodzi o piękno. Bo człowiek na te sprawy wrażliwy nie jest lepszy, ale jest z pewnością w pewien sposób bogatszy, bardziej zasobny.

23 stycznia 1958

Zygmunt Mycielski, *Znaki zapytania*, Kraków 2022, s. 294–296.